

MAREK ZALEWSKI

State Archaeological Museum in Warsaw
epoka.kamienia@pma.pl

PROFESOR, JAKIEGO PAMIĘTAM (THE PROFESSOR I REMEMBER)

ABSTRACT

Stefan Karol Kozłowski, whom I remember from my time as a student, was an exceptional professor and scholar who had a remarkable ability to inspire and motivate his students. His passion for prehistory, seen through the lens of flint, was “contagious”, and his teachings went beyond the standard curriculum. He involved us in his research on the Mesolithic Atlas of Europe, treating us as valuable collaborators. Professor Kozłowski also organized regular meetings and lectures with his doctoral

students outside of the university, where they presented their work and findings on flint artefacts. It was a unique and enriching form of education.

After graduating and defending my master’s thesis, which he supervised, we remained in contact. He frequently visited me and my colleagues at the National Archaeological Museum until the end of his days. We all valued Stefan Karol Kozłowski as a wonderful person and scholar. He was a friend and a mentor to us.

Keywords: Stefan Karol Kozłowski, Mesolithic, State Archaeological Museum, Rydno, Krzemionki Opatowskie

Rok 1975. W październiku rozpoczął się kolejny, a dla mnie pierwszy rok akademicki w Katedrze Archeologii Pradziejowej i Wczesnośredniowiecznej na Uniwersytecie Warszawskim. Ledwie zaczęły się zajęcia i poznawanie się z koleżankami i kolegami, a już po dwóch tygodniach wszyscy studenci zostali skierowani na zajęcia terenowe, tzw. „powierzchniówki”. Trafiłem do grupy, która pojechała do Ilży. Studenci ze starszych roczników chodzili po polach, a nas, „młodych”, jako że było niemiłosiernie zimno, skierowano do badań sondażowych, które zaordynował profesor Waldemar Chmielewski. To oraz dystans, jaki miał do studentów podczas wykładów z paleolitu, sprawiło, że „na dzień dobry” polubiliśmy docenta Stefana Karola Kozłowskiego, który prowadził zajęcia z mezolitu. Żywiłowe wykłady z opowieściami o ludziach w czerwonych i niebieskich sweterkach, tłumaczące różnicowanie kulturowe w epoce kamienia, fascynowały niemal wszystkich z roku. Lubił, kiedy studenci byli aktywni. Ja, mając zaliczone jeszcze przed studiami wykopaliska u Krzysztofa Burka na nadbiebrzańskim stanowisku z epoki kamienia w Grądach Woniecko, udzielałem się. Oplaciło się. Na ostatnich zajęciach przed letnią sesją Docent poprosił o indeks i zamaszystym ruchem wpisał mi piątkę. W ten sposób miałem „z głowy” najcięższy egzamin na pierwszym roku studiów. Pozostałych czekał egzamin testowy, który zaskoczył wszystkich. Zwłaszcza niemiłą niespodzianką okazały się pytania przygotowane przez docenta Stefana Karola Kozłowskiego. W przeci-

wieństwie do „luzackich” wykładów okazały się bardzo precyzyjne i trudne, bo kto by się spodziewał, że ma narysować typowe zabytki dla kultury janisławickiej czy tylczaki typu Komornica i Stawinoga. Pogrom, a potem dla wielu ustny poprawkowy.

Ostatecznie z całego roku tylko ja miałem ochotę na kontynuowanie studiów nad epoką kamienia. Wiązało się to z pewnymi zawirowaniami w moich zajęciach na drugim roku, bo wymuszało uczestniczenie także w zajęciach dla trzeciego, na którym zebrała się silna grupa krzemieniarska z Andrzejem Boguszewskim, Januszem Budziszewskim, Karolem Szymczakiem i Ewą Gieysztor. Tworzyliśmy dobry i zgrany zespół, który lubił swojego promotora, a on nas. Nawiązała się między nami płaszczyzna porozumienia, która wykraczała poza przyjęte na uczelni stosunki w dydaktyce. Nie mając wówczas własnych dzieci, wykładowca przenosił ojcowskie pragnienia na naszą grupę. Wygraliśmy los na loterii życia, bo „Funio”, jak go nazywaliśmy, naprawdę po ojcowsku poświęcał nam dużo czasu i uwagi. Wszyscy uczestniczyliśmy w dodatkowych wykładach – spotkaniach organizowanych przez niego w Polskim Towarzystwie Archeologicznym i Numizmatycznym przy ul. Jezuickiej (ze względu na ciasnotę w Katedrze przy ul. Widok), na których referowali postępy w pracach nad doktoratami: Jan Burdukiewicz, Krzysztof Cyrek, Lucyna Domańska oraz Krystian Nowak. Miła atmosfera i naprawdę znakomite doświadczenie. Podobnie było z włączeniem



Fig. 1. Prof. S.K. Kozłowski ze studentami uczestniczącymi w 1978 roku w badaniach Rydna. Od lewej stoją na schodach: Karol Szymczak, koleżanka z polonistyki, Marek Zalewski, Grażyna Rejchert i Jerzy Libera, z miarką siedzą Barbara i Wojciech Michera, a pies gospodarza Państwa Łyżwów łąsi się do Andrzeja Boguszewskiego (fot. J. Budziszewski).

nas w pracy nad atlasem mezolitu w Europie. Promotor w sposób elegancki podziękował nam za pomoc. Z żoną Elżbietą zaprosili całą grupę do własnego mieszkania przy ul. Czerwonego Krzyża i jako prawdziwi miłośnicy Francji ugościli nas deską serów i czerwonym winem. Chyba dla wszystkich było to duże przeżycie.

Innym, tym razem mocno stresującym wydarzeniem, była podróż z „Funiem” do Ojcowa, gdzie podczas studenckiego objazdu naukowego miał pokazać jaskinie w Dolinie Prądnika. Mój rok był już na miejscu, a docent, z racji wykładu dla trzeciego roku, miał dojechać dzień później. Po wykładzie zabrał mnie ze sobą i ruszyliśmy „Maluchem” w drogę. „Funio” jak zwykle gestykulował i często zapominał o trzymaniu kierownicy, ale dojechalismy szczęśliwie.

Rok 1978. We wrześniu wszyscy uczestnicy seminarium krzemieniarzkiego prowadzonego na UW przez docenta Stefana Karola Kozłowskiego oraz Jurek Libera z UMCS pojechali na Rydno na praktyki wykopaliskowe. Zgodnie z „Funiową” tradycją przygotowana została flaga

ekspedycji. Jako absolwent liceum plastycznego zaprojektowałem ją, nawiązując do słynnego malowidła z Lascaux z motywem stada reniferów, które dzielnie wyszyły Ewa Gieysztor i Grażyna Rejchert wraz z nazwiskami uczestników. Po zakończeniu ostatniej ekspedycji UW na Rydnie flaga, dzięki Wojtkowi Borkowskiemu i Witkowi Migalowi, uczestników ekspedycji trafiła do Działu Neolitu Państwowego Muzeum Archeologicznego, ale niestety spaliła się w pożarze baraku, gdzie przeniesiono nas na czas remontu w muzeum.

Formalnie badania na Rydnie prowadził Docent, ale ponieważ Grażyna Rejchert miała z nich pisać magisterium, to właśnie jej powierzył zarządzanie ekipą na wykopie. Wszyscy lojalnie podporządkowywali się wytycznym, które ustalała wcześniej z promotorem. „Funio” delikatnie kontrolował sytuację, a wieczorami i w wolnym czasie opowiadał o mezolicie, krzemieniarstwie, archeologii i o życiu. Najczęściej na weekend wyjeżdżał do Warszawy, a jak zostawał, zwiedzaliśmy okolicę lub w ramach rekreacji rozgrywaliśmy mecze piłkarskie. Czasem sędziował, ale też starał się być aktywnym graczem. Parę razy tworzyliśmy we trójkę wraz z Ewą Gieysztor drużynę przeciwko Januszowi Budziszewskiemu i Karolowi Szymczakowi, i niestety zawsze przegrywaliśmy.

Wiele lat później w Rybnie koło Sochaczewa, kiedy już jako profesor przeglądał materiały w znajdujących się tam magazynach Państwowego Muzeum Archeologicznego, zagrałem mecz przeciwko Kozłowskiemu, ale tym razem jego synowi Karolowi, który wraz z młodym Gąssowskim chcieli koniecznie pograć w piłkę. Profesor Jerzy Gąssowski pykał fajkę w fotelu, profesor Stefan Karol Kozłowski sędziował, a ja z moim, kilkuletnim wówczas synem, spokojnie pokonaliśmy profesorskich nastolatków.

Rok 1979. We wrześniu nie pojechałem na badania w Rydnie, bo dzięki łaskawości ówczesnych władz uzyskałem pozwolenie na otrzymanie paszportu oraz promesy na zakup stu dolarów i z żoną wyruszyliśmy w podróż poślubną do Włoch. W październiku jak zwykle były „powierzchniówki”, a gdzieś w połowie listopada po seminarium docent Stefan Kozłowski powiedział mi, że w marcu przyszłego roku wyjeżdża na badania wykopaliskowe na Bliski Wschód, i albo złożę pracę magisterską przed jego wyjazdem, albo dopiero w październiku lub listopadzie. Formalnie mogłem to zrobić w roku akademickim 1980/1981, ale byłem już żonaty i zależało mi na wcześniejszym zakończeniu studiów. Zaczął się więc wyścig z czasem. Co dwa tygodnie donosiłem promotorowi kolejne rozdziały do przeczytania i oceny, i w lutym 1980 roku obroniłem pracę magisterską.

Lata 80 i następne XX wieku. Pożegnałem się z Uniwersytetem, ale nie z profesorem Stefanem Karolem Kozłowskim, pozostał bowiem w moim życiu do końca swoich dni. Zresztą nie tylko moim, bo tak-

Fig. 2. Rydno 1978. W przerwach w trakcie badań prof. S.K. Kozłowski często prowadził mini wykłady o archeologii i nie tylko. Tu słuchaczami jego byli Barbara i Wojciech Michera, Andrzej Boguszewski, Grażyna Rejchert i Marek Zalewski.



Fig. 3. Rydno 1978. Profesor S.K. Kozłowski nie stronił od pracy fizycznej na wykopie.



że Sławka Sałacińskiego, Wojtka Borkowskiego i Witka Migala, z którymi po studiach znalazłem się w Dziale Neolitu w Państwowym Muzeum Archeologicznym w Warszawie. Odwiedzał nas często, zawsze głośno witając, wzorując się na Stefanie Krukowskim z hasłem: „dzieci moje kochane”. Podczas badań, które prowadziliśmy w Krzemionkach Opatowskich, co jakiś czas podrzucał nam swoich zagranicznych gości. Właściwie byli to młodzi protegowani kolegów Profesora z zagranicznych uczelni. Zostawiał ich z butelką „wiskacza”, żeby łagodniej nam przeszło zajmowanie się nimi. Do dziś wspominamy ładną Finkę, której zupełnie nie interesowały prehistoryczne kopalnie i już następnego dnia wyjechała do narzeczonego, który mieszkał w Krakowie. Trafił się nam też niezwykle grzeczny Hindus z dalekich Indii,

dla którego na pewno była to wyprawa życia. Niewiele rozmawialiśmy, bo już po wypiciu jednego kieliszka przy obiadokolacji zasypiał przy stole. Trzeźwiał do południa, po czym przychodziła kolejna obiadokolacja i sytuacja powtarzała się. Nie wiem czy coś innego zapamiętał z Krzemionek.

Kiedy Profesor przychodził do muzeum, starał się chociaż na chwilę wpaść do nas do Działu Neolitu i zapytać, nad czym pracujemy. Przynosił kolejne swoje książki, opatrując je „kulfoniastymi” dedykacjami. Ja obdarowywałem go niearcheologicznymi, ale polsko-węgierskimi folderami do wystaw, które organizowałem we współpracy z Instytutem Liszta – Węgierskim Centrum Kultury w Warszawie. W ostatnich latach, przez koronawirusa, wizyty „Funia” w muzeum były rzadsze. Wiedzieliśmy,

że pisze wspomnienia. Przynosił rękopisy do naszej koleżanki z muzeum, Giny Dziklińskiej, która je odszyfrowywała i przepisywała. Wojtek Borkowski zaangażował się w wydanie i mimo innych zajęć doprowadził do tego, że schorowany już Profesor zobaczył złożoną książkę. Ja tylko próbowałem negocjować z panią Elżbietą i synem Karolem zmianę zdjęcia na okładce. Wielka szkoda,

że nie dane nam było spotkać się na promocji książki. Ale z ogromną przyjemnością przeczytałem *Co przeżyłem, tom opisał*, mając wrażenie jakbym słuchał opowieści „Funia”. Niektóre z nich już znałem, w innych sam uczestniczyłem lub słyszałem od kolegów, ale wiele było zupełnie nowych, nieznanych i ciekawych, jak całe życie naszego Przyjaciela i Mistrza.